№ 51. Warszawa, dnia 6 (18) Grudnia 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Szkolnictwo angielskie.

Jeden z pedagogów niemieckich, podczas wakacyi tegorocznych bawiąc w Anglii, szczególniej poświęcił się zbadaniu szkół tamtejszych i postrzeżenia ztąd otrzymane pomieścił w berlińskim dzienniku Nation, dziwnie bezstronnym, zważając na głupotę niemieckiej zarozumiałości.

Angielscy nauczyciele, powiada ów pedagog, obdarzają swych uczniów wielkiem zaufaniem, które ci wynagradzają im prawdą i otwartością, kiedy niemieccy uczniowie w wyjątkowych tylko razach uważają za wstyd nauczycieli swych okłamywać. Jest rzeczą honoru każdego ucznia, mówi np. statut szkolny jednego ze zwiedzanych zakładów, zachowywać się jako przyzwoity człowiek (gentleman).

W całem swojem postępowaniu w obec nauczycieli i kolegów, powinien uczeń starać się być otwartym i honorowym i mówić zawsze prawdę, gdyż dopuścić się kłamstwa uchodzi za czyn najgorszego złamania karności szkolnej.

Nauczyciele ufają swoim uczniom, uczniowie swoim nauczycielom, jeden uczeń drugiemu.

Czytanie statutu tego wywarło głębokie wrażenie na niemieckiego pedagoga. Przypomniał sobie, że w auli jego miejscowego gimnazyum jest zapisana maksyma: „Poznajcie prawdę, a prawda uczyni was wolnymi.” „Bozka głębokość i prawda tego słowa, wola, nigdy nie dotknęła tak bardzo mego serca, jak tutaj! Gdy spostrzegłem swobodny a przecież wcale niepozbawiony uszanowania ton, w którym tutaj uczniowie z nauczycielami się komunikują, przyszła mi nagle owa maksyma na myśl, i przekonałem się, iż to jest ową wolnością, jaką prawda do serc uczniów wprowadza. Oby i nam w Niemczech udało się oswobodzić szkoły od niewoli kłamstwa, a doprowadzić je do bozkiej swobody prawdy!” Znakomitym pedagogiem, który piękną powyższą prawdę wypowiedział, jest, jak powiada dziennik *Nation* dalej, wyższy nauczyciel d-r Raydt, znany politycznie jako gorliwy zwolennik rządu.

D-r Raydt, mówi *Nation* następnie, dostrzega przecież tylko zewnętrze objawy, a nie świadom jest ich związku. Co widział w szkole mógłby znaleźć we wszystkich naszych publicznych stosunkach, jeżeli się w nich chce rozpatrzyć z równą bezstronnością. Niemcy, które przez niejakiś czas starały się być na czele cywilizacyi, stały się znowu najzupełniej państwem policyjnem. Nieuniknione w żadnem życiu ludowem różnice pojęć i interesów, zaprawiły się przez nieodpowiednią interwencya państwa niesłychaną goryczą i stanowią powód wzajemnych namiętnych nienawiści. Nienawiść i nieufność stały się niezwykle silnemi czynnikami w publicznem życiu niemieckiem. Z naszej strony ciekawi byliśmy istotnie wiedzieć, jakieby też wyrzekł zdanie znakomity pedagog niemiecki o swobodzie i zaufaniu panujących w szkołach poznańskich.

Otóż dwa tajemnicze słowa, swoboda i zaufanie, niby dwa kwiaty na wdzięcznej roli miłości i szacunku wyrosłe. Gdzie ich nie ma, gdzie nienawiść wszystkiemu przewodniczy a nieufność wszystko podejrzywa, tam wszystko także z prostej drogi prowadzącej do prawdy spycha na manowce.

Na Niemcach sprawdza się ta zasada a ina Anglii w znacznej części. Społeczności fałszywą postępujące drogą, w walce ztąd prowadzonej wyczerpują się. I jedna i druga strona tracą a zyskuje zupełnie obcy najczęściej niechętny dla walczących.

Dla Anglii tą kulą u nogi jest Irlandya, dla Niemców Alzacya, Szlezwig i Poznańskie. W długim tym szeregu niechętnych, walka trwa bez przerwy: Irlandya po wiekach prześladowania i to nie byle jakiego, bo angielskiego, sławnego ze srogości i okrucieństwa, dziś dźwiga się z siłą, jakiej dotąd nigdy jeszcze nie okazała i nie ma wątpliwości, że stanie się tem, czem jej z prawa natury być należy.

Z poznańskiem to samo się spełni.

Wracając do szkolnictwa, niemiecki pedagog narzeka na brak zobopólnego zaufania w szkołach własnej ojczyzny. Głos jego godny uznania: gdzie brak tego zaufania tam prawda królować nie może, tam wszystko kończy się tylko na pozorze, na wzajemnem oszukiwaniu się, tam kłamstwo idzie przodem i ze wszystkich stron, wszystkiemi wydobywa się szczelinami, szychem ułudy wszystko okrywając.

Wytworzone ztąd złe jak zaraza wsiąka w całą społeczność i z pewnością pożytku nie daje.

W kwestyi szkolnictwa uwag mnóstwo się mimowoli nasuwa do myśli, a przede wszystkiem, że w ogóle w Europie z wyjątkiem Szwajcaryi, Szwecyi i Norwegii, źle jest najzupełniej rozwijane, a dowodem tego najlepszym, że gdy gdzieindziej dzieci są przymusem naganiane, tam z własnej uczęszczają ochoty.

Przyczyną tego sposób wykładu pociągający zajęciem i zabawą, gdy w innych szkołach nudzą wykładem a męczą nauką rzeczy najzupełniej niepotrzebnych.

J. K.

Nie żal się bracie!

Nie żal się bracie! rozłączenia siła —
Nie będzie nigdy tamą naszych myśli —
Tyś mi był gwiazdą, co jasno świeciła,
Gdyśmy do pracy z wiarą w sercu wyszli.

I dłoń twa bratnia ku wiedzy mnie wiodła,
Wązkiemi ścieżki, drożyny stromemi,
Chociaż samotna jak na skale jodła,
Ze wspomnieniami pozostałam memi.

Ja się nie skarżę, wśród życia zawiei,
Ja się nie skarżę w usiłowań znoju,
Bo wiara, miłość i błyski nadziei,
Wciąż mi ślą siłę do ciężkiego boju...

Ja się nie skarżę na wszystkie cierpienia,
Nie jęknę nigdy wśród srogiego losu,
Ja tylko pragnę twego umocnienia,
Abyś się nie giął pod ogromem ciosu.

Nie żal się bracie! choć przestrzeń rozdziela,
Pomnij, że moja myśl do ciebie wzlata,
We mnie masz zawsze siostrę-przyjaciela,
Mej duszy ramię twoją pierś oplata.

Nie żal się bracie! na życiowe burze,
Na młodość naszą, że w smutku upływa:
Jak błędny ognik, co go widno w górze,
Gdy słabo tleje, zda się dogorywa...

Pomnij! że życie jako błyskawica
Przeminie, znacząc różnobarwne smugi,
Niechaj nie trwoży grom i nawalnica,
Tych, co są zbrojni w cierpienia zasługi.

Nie żal się bracie! wszak z wiary zasobem,
Z miłością w sercu, ze znojem u skroni,
Chociaż po walce okryjem się grobem,
Szlak pracy naszej w przyszłą dal pogoni.

Konstancya W.

OBOJE.

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XII.

Ciocia Klemusia była w tej chwili podrażniona pewną myślą, która mimowoli wciska się czasem do głowy choćby tylko na to, aby po kilku chwilach wyjść z niej bez skutku, jak przyszła bez powodu. Podobna do mrzonki zjawia się jak fata morgana przed okiem duszy, a podrażniwszy je na chwilę, znika bez śladu.

Nikt się o niej nie dowie, nikt jej gdy odejdzie nie żałuje. Jest ona na pół sennem marzeniem, z którego budzimy się zapominając natychmiast o niem. Składają się na nie często dawniejsze reminiscencye przystosowane do dzisiejszej chwili, które służą nerwom niejako za przyjemną drzemkę.

Takiej drzemki używała teraz ciocia Klemusia. Niezaspokojone pragnienia serca odzywały się jakiemś głuchem echem. W późnej jesieni ma takie echo szczególny urok. Bezlistne drzewa, krzaki bez kwiatów, pozwalają temu echu łamać się swobodnie o załomy gór i skał a nawet sięgnąć do szczelin, do których w czasie wiosny żaden głos nie sięga.

W młodszych latach cioci Klemusi odzywały się nieraz takie echa i ginęły. Młode jej życie płynęło jak górski potok w stromych zakrętach tworząc nieraz urocze kaskady. Zmieniały się nowe widoki, bawiły niespodzianki, budziły nadzieje, że za tą blizką skałą, że za tym lasem, że hen za tą górą, znajdzie się coś, czego pragnie i szuka serce kobiety. I nic się nie znalazło!... Potok życia wypłynął na długą jednostajną dolinę, jesień zważyła kwiaty, przymrozki zdmuchnęły liście z drzewa. W dali widnieje tylko jednostajna pustynia z niejasnym brzegiem wieczności!.. Gdyby wtedy choć jeden zżółkły listek znaleźć na drzewie, choć jedną z uschłym liściem gałązkę, choćby mały, zasuszony kwiateczek!... Nie byłoby to szczęściem dawniej marzonem, ale byłoby przecież coś... coś lepszego, niżeli nic!... Nic, to straszne słowo!

O tem *nic* myślała nieraz ze strachem ciocia Klemusia, w tej chwili zamarzyła o tem *coś*

Pan Marcin był dalekim krewnym. Takim krewnym przypada nieraz rola owych zżółkłych liści, z których plotą się wianki weselne dla kuzynek przez świat opuszczonych.

Czyżby to być nie mogło?

Imci pan Marcin jest nieco starszy, wygląda czerstwo i przy małej tresurze, mógłby wyglądać na przyzwoitego męża.

Ma zawsze dobry humor i jest dla kobiet z ową dzisiaj tak rzadką adoracyą, zupełnie już prawie zapomnianą. We wszystkiem im ulega, z czem także nie zawsze spotkać się można. *Był* kiedyś nawet bardzo przystojnym mężczyzną, czego pozostały ślady nie ostatnie.

Mrzonka cioci Klemusi szła dalej tą drogą.

Jest dla niej zawsze z szczególną atencyą. Nadskakuje jej przy każdej sposobności, a nawet droczy się czasem, co nie jest bez głębszego znaczenia. Niedawno wyrzucił jej kłębuszek włóczki z koszyka, a gdy się oboje po niego schylili, uderzył ją głową w czoło, aż ślad na niem pozostał. Przepraszając za to, ścisnął ją tak silnie za rękę, że dwa brylanciki wypadły z pierścionka!... Kupił sobie nawet pomadę na wąsy z wonią rezedy. Raz mówiła mu, że lubi rezedę... Nosi teraz codziennie łosiowe rękawiczki i kołnierzyki tak krochmalne, że mu oczy na wierzch wyłażą... Wszystko to nie jest bez znaczenia.

Poczciwy duch szeptał jej dalej do ucha:

Ma widocznie pieniądze. Niedawno kazał Wincentemu setkę zmienić, a w pugilaresie miał jeszcze grubsze banknoty! Gdy hr. Sewera o wyjątkowej nędzy jakiegoś rzemieślnika mówiła, wcisnął jej do ręki papierek nielada. Czegoż to dowodzi? Chciał widocznie wziąć krewnych swoich na próbę! Frant co się zowie!

Przyszła kolej na skrzynkę.

Ciocia Klemusia tyle pięknych legend o tej skrzynce w domach znajomych nagadała, że z natury rzeczy, sama w część tego opowiadania uwierzyła. Pewnej nocy śniło się jej nawet, że ta skrzynka stała przed nią otworzona. Widziała w niej długie rulony dukatów leżące jak kiełbasy przy sobie. Miały smaczną woń najprzedniejszej wędliny. Czyżby nie miało to być prawdą? Cóż innego znaczyły słowa pana Ludwika, który wyraził życzenie, aby ta skrzynka przy familii została?...

Przy tak sprzyjających okolicznościach, czyżby niewarto sięgnąć po ten błędny listek, który wiatr jesienny unosi? Czyżby niewarto na tej pustyni życia, która już nic nie obiecuje, rozbić choć mały szałas, który po tylu zawodach byłby zawsze własnym kącikiem?... A o własnym kąciku trzeba może na seryo myśléć!... Spodziewany posag Aurelii, nie dopisał, a Janina może zabrać swoją część. Własny kącik! Byłaby to nawet piękna sielanka! Mały domeczek, kilkadziesiąt.... kilkanaście.... a choćby nawet kilka ładnych krówek z zieloną łączką nad strumykiem... oni oboje razem!

Ciocia Klemusia zdrzymnęła się tutaj naprawdę. Sztucznie nastroszone włosy, pochyliły się na lewą stronę, jak czapka fryzyjska. Serce jej zbuntowało się i groziło rewolucyą socyalną. Prawo do szczęścia, wołało głosem nieprzejednanym, jakim woła tłum zgłodniały o prawo pracy i chleba!

W tej chwili rozległ się łoskot jakby strzały wojska do zbuntowanych tłumów... ciocia Klemusia ocknęła się. Przed nią stał Kuba z szczotkami i z krążkiem wosku na żelaznych widełkach.

— Cóż tam znowu? — zapytała przebudzona.

— Chciałbym posadzkę wyczyścić — odparł Kuba.

Na podłodze leżało krzesło przewrócone. Kuba wymyślił taki sposób, aby lokatorkę z drzémki przebudzić. Nie pogniewała się jednak na niego, jak to było jej zwyczajem. Widać, że sen rozkoszny złamał nieco jej energią.

— Dlaczegoś to krzesło przewrócił?

— Chciałem wielmożną panią obudzić.

— Czy nie mogłeś zawołać?

— Wołałem trochę, ale to na nic się nie zdało.

— Czy u Kapitana już posprzątano?

— Pan Kapitan powiedział, że później, bo właśnie skrzynkę otwierał. Nie lubi aby wtedy być w pokoju.

— Czy widziałeś co w tej skrzynce?

— Jakże miałem widzieć, kiedy mnie Kapitan zaraz za drzwi wytrącił. Raz nawet mało mnie nie wybił, gdy prędko nie wychodziłem.

— Przecież mógłbyś czasem zerknąć.

— Zerknąłem, ale dwa kułaki za to dostałem... widziałem jakby pieniądze pozwijane w kiełbaski. Jeżeli kosowi nie gwizda, to otwiera skrzynkę i rachuje, słychać nawet jak pieniądz brzęczy.

Ciocia Klemusia zanuciła półgłosem jakąś piosenkę. Poprawiła włosy i wyszła do pokoju Janiny.

XIII.

Janina siedziała na fotelu z głową na piersi spuszczoną. Na dywanie przy jej nogach leżała książka otworzona. Zapewne przed chwilą wypadła z jej ręki. Szafirowe oczy przykryte były do połowy jedwabną rzęsą. Migotało w nich światło przyćmione, jednostajne i nieruchome. Na bladej twarzy malował się smutek i pewne rozżalenie. Spokojną jednak była ta twarz jakby wykuta z marmuru, tylko na białych skroniach drgały niespokojnie błękitne żyłki, a od czasu do czasu znikały lekkie zmarszczki na czole. Pierś falowała zwolna, coraz słabiej jakby ustać chciała i zamienić się w biały, zimny marmur.

Gdy ciocia do pokoju weszła, podniosła Janina głowę. W jej oczach błyszczały resztki łez. Poczuła to i szybko przesunęła białą ręką po twarzy.

— Zdrzymnęłam się trochę — rzekła z uśmiechem, który jakoś nie był szczery — czy ciocia chcesz czego?

— Przyszłam na chwilę do ciebie.

— Czy pan August nie przyjdzie już dzisiaj?

— Czy już zatęskniłaś za nim?

— O nie, nie, chciałabym nawet, aby dłuższy czas zostawił nas w spokoju. To ustawiczne szyderstwo już mnie nudzi. Człowiek zimny, sceptyk, szydzi z wszystkiego, czego ręką dotknąć się nie można, żyje jak nakręcona maszyna. Mróz wieje od takiego człowieka aż dreszcz biegnie po ciele!

— Tacy oni wszyscy dzisiaj!

— Więc dla kobiety nie ma już dzisiaj szczęścia?

Przy tych słowach brzmiał dziwnie głos Janiny. Czuć było w nich bolesną skargę.

— Pytasz o szczęście — odpowiedziała z lekkiem westchnieniem ciocia — spojrzyj na mnie a masz odpowiedź gotową.

Janina spojrzała, ale łzy zasłoniły jej oczy. Ciocia rozsunęła jej włosy na czole i pocałowała.

— Biedna Janino, te brylantowe łezki twoje, to dopiero przedmowa do dzieła, które się życiem zowie. Będzie ich tam więcej, daleko więcej, niżeli się spodziewasz!

Janina rozpłakała się i białe ramiona zarzuciła na szyję cioci. Płacz jej stawał się spazmatycznym.

— Czemże zasłużyłam sobie — łkała — abym była tak nieszczęśliwą!

— Można ujść nieszczęścia.

— Jakim sposobem?

— Nie sięgając nigdy po szczęście!

— A jakiż cel życia?

— Rezygnacya i spokój!

Janina przestała nagle płakać. Nastała jakaś złowroga cisza.

— To już śmierć lepsza — rzekła po chwili z niemiłym śmiechem, ale umrzeć tak młodą nie można... trzeba więc żyć i śmiać się! Tak, śmiać i być wesołą, a nawet tańczyć.

I z wdziękiem bajadery podniosła białe ramię do góry i wykręciła się kilka razy wkoło.

— Otóż tak mi się podobasz — rzekła ciocia — jeżeli żyć, to śmiać się i bawić!

I wykręciła się z nią razem.

— A jeżeli ludzie z nas szydzą — zagadnęła Janina — to z nich szydzić wzajemnie. Ząb za ząb, oko za oko!

— Szydzić do upadłego!

— Ułożyłam już sobie planik. Kupię sobie książkę o burakach, aby dokuczyć panu Augustowi. Będę z zajęciem o niej rozprawiać, będę go pytać o to i o owo, jakbym była praktykantem w cukrowni!

— Rozdrażnisz go jak indyka!

— To mnie bardzo ucieszy.

— Złośliwość jest czasem godziwą bronią.

— Złość na złość!... Zbierzmy się i chodźmy na świeże powietrze. Po drodze załatwię sprawunek.

XIV.

Gdy Janina w zmowie z ciocią do walki przeciw Augustowi się gotowała, szedł tenże długą, bezludną ulicą nieprzeczuwając wcale niebezpieczeństwa, które mu zagrażało. Szedł zamyślony, z głową spuszczoną w ziemię. Od czasu do czasu z ciemnych czeluści kieszeni wychylała się czerwona okładka broszury o burakach, ale August był teraz nieczuły dla swoich ulubieńców. Nawet natrętną książkę pchnął kilka razy głębiej do kieszeni, aby jej w tej chwili na oczy nie widzieć. Inne obrazy snuły się przed nim. Nie miały wyraźnych zarysów. Mieszały się jak barwy w kalejdoskopie, zmieniały się co chwila jak obłoki na niebie niespokojnem... ale kształtów ich nie mógł swojem okiem objąć ani powiedzieć jak one wyglądają. Nie były to myśli ani obrazy wyobraźni... była to tylko jakaś woń, która go upajała, jak woń kwitnących drzew na wiosnę, jak woń słodkich nadziei, woń nieujrzanego jeszcze szczęścia!

Długi czas chodził w tem odurzeniu.

Czasami uśmiechał się, jakby czuł słodycz jaką, a czasami marszczył czoło i zaciskał usta, jakby coś napotkał, co kroki jego tamować chciało.

Po niejakim czasie zatrzymał się jakby myśl jakaś przyszła mu do głowy. Zwrócił się do miasta. Uszedłszy kawał drogi, zatrzymał się przed księgarnią. Pomyślał chwilę i wszedł.

W księgarni było wiele ludzi. Lada sklepowa ustawiona w podkowę, otoczona była kupującymi. Na prawo stały dwie panie obrócone do niego tyłem. Przewracały między książkami, których stosy leżały na ladzie.

Zwrócił się na prawo.

— Prosiłbym o poezye Słowackiego — rzekł do subiekta.

Jedna z pań w aksamitnym paltocie z koronkami obróciła się.

— Czy słyszysz cociu — szepnęła starszej towarzyszce do ucha — przyszedł za nami, aby z nas i tutaj szydzić. Trzeba mu oddać piękne za nadobne.

— Proszę mi dać książkę o uprawie buraków! — zawołała głośno.

August obrócił się i poznał Janinę. Pomyślał sobie: I tutaj drwi sobie ze mnie.

— Proszę także o poezye Mickiewicza — rzekł głośno.

Na drugiej stronie mówiła znów Janina:

— Proszę także o książkę: Fabrykacya cukru!

— Dodaj pan jeszcze Krasińskiego, Syrokomli i Wincentego Pola — wołał August po drugiej stronie.

— Proszę jeszcze o dzieło: Kuchnia polska i dodaj pan do tego: O gospodarstwie kobiecem! — wtórowała Janina.

Wypadało teraz przywitać się.

— Niespodziewałem się takiego spotkania — rzekł August z ironicznym uśmiechem.

— My także — odpowiedziała Janina, przeglądając tytuł świeżo podanej książki.

Dalsza rozmowa urywała się. Mówiono o pogodzie i nieznośnym turkocie dorożek, który nie pozwala rozmawiać.

Tymczasem zawiązali subiekci pakiety książek. August wziął poetów pod pachę, Janina buraki i kuchnią polską i pożegnali się oboje zimno i sztywnie.

XV.

Kilka dni upłynęło. Walka była przerwana. August miał jakieś interesa i nie okazywał się przez te dnie u krewnych. Wieczorem siedział w domu, a w braku innej rozrywki zaglądał do poetów. Książka o burakach leżała w kącie, jak kopciuszek. Afekt jego dla nowych gości stawał się coraz wyraźniejszy. Razu jednego nie wiedział nawet, gdzie mu się noc podziała. Już świtało a on czytał jeszcze. Rozśmiał się sam z siebie i rzekł półgłosem:

— Dlaczegóż to w szkołach nie jest kobieta profesorem literatury, a przynajmniej poezyi! Daleko więcej byłoby uczniów!

Janina siedziała także w domu i czytała. Zbrojąc się do walki, jak utrzymywała przed ciocią, z nieznośnym panem Augustem, zaglądała do książki o burakach, czytywała długie dyspozycye obiadów polskiej kuchni i zapoznawała się coraz więcej z „gospodarstwem kobiecem." Czytała coraz dłużej z coraz większem zajęciem. Raz nawet nie spostrzegła, że północ dawno minęła, że ludzie już się budzić zaczynają. Uśmiechnęła się do skrytych myśli swoich i rzekła ścicha:

— Wiele zależy od nauczyciela, który nam naukę jakąś podaje! Nauka ta wygląda wtedy inaczej.

Kilkodniowy ten rozejm dał się panu Marcinowi dosyć we znaki. Nietylko ucierpiała na tem lekcya śpiewu, ale i nałóg jego zaglądania do skrzynki mocno był turbowany. Janina wpadała często do jego pokoju z książką o burakach, zapytując go o to i owo. Imci pan Marcin zamykał z kwaśną miną skrzynkę.

— Czy w tej skrzynce są jakie skarby? — pytała Janina z nachmurzonem czołem.

— Dowiecie się o tem z mego testamentu — odparł pan Marcin z wyrazem na twarzy, który przyszłych spadkobierców mógłby unieść do siódmego nieba.

Janina nie słyszała słów tych, ale słyszała je ciocia Klemusia, która w tej chwili weszła do pokoju.

Milczała czas niejaki, jakby zapomniała z czem przyszła. Ocknęła się wkrótce.

— Ten kos nieznośny — rzekła ze słodkim uśmiechem do pana Marcina — działa mi zawsze na nerwy.

Kos przerwał półgłosem nuconą melodyą legionów.

— Pisze pani Ida — mówiła dalej ciocia — że dzisiaj przyjdzie na herbatę. Wypadałoby zaprosić Augusta.

— Nie potrzeba — odparł pan Marcin z tajemniczym uśmiechem.

Janina zbladła nieznacznie. Szybko obróciła się do kosa.

— Dlaczego niepotrzeba? — zapytała.

— Byłem u niego dzisiaj rano.

— Przecież dzisiaj nie odjeżdża? — rzekła Janina, zwracając się szybko do pana Marcina.

— Bez pożegnania przecież nie odjedzie — dodała ciocia — a dzisiaj wieczorem może poznać pannę Helenę, która jest jakby dla niego stworzona. Będą się widywać kilka razy na dzień przy jedzeniu, a resztę czasu przepędzi on w fabryce a cna w kuchni.

— Może to nie tak źle — wtrąciła złośliwa Janina.

— Kogo na co stać! — dodała ciocia.

Imci pan Marcin przyszedł wreszcie do słowa.

— August przyjdzie sam dzisiaj — rzekł ruszając tajemniczo wąsami — a czy to nie będzie ostatni jego wieczór i mój między nami, to już ani od niego ani ode mnie nie zawisło.

— A od kogóż? — szybko podjęła Janina.

Pan Marcin ruszył znów wąsami.

— Od kogo? albo ja wiem?... Może od tej panny Heleny, o której ciocia Klemusia mówi!

Janina zwróciła się znów do kosa, zachęcając go półgłosem do melodyi legionów.

— Więc August przyjdzie — zakonkludowała ciocia.

Na tem skończyła się rozmowa, w części niedopowiedziana, w części niezrozumiana przez wszystkich.

Kos uznał za stosowne rozpocząć teraz melodyą, przy której każdy mógł sobie w duszy dośpiewać to, czego pragnął lub czego się obawiał.

Za kilka godzin miały się spełnić te nadzieje lub obawy.

Rozeszli się do swoich pokojów.

XVI.

Nadszedł wieczór, w salonie zapalono kandelabry. Ciocia Klemusia pierwsza stanęła na placu. Była w tej chwili młodszą niż zwykle. Miała kunsztowną fryzurę z czerwoną przepaską fałdzistą, suknię z chińskiej materyi i stosowny do tego wesoły uśmiech. Twarz jej i ręce były białe i lśniły jak marmur polerowany. Zmarszczki pochowały się wstydliwie i tylko czasami wyjrzały ciekawie zpo za sztucznieskręconej grzywki. W przymrużonych oczach świeciło jakieś uczucie przyjemne.

Po niej wyszła pani Aurelia skromnie i prawie po domowemu ubrana. Dzisiejsi goście, jak mniemała, nie wymagali staranniejszej toalety. Przyłączył się także pan Ludwik w krótkiej kurtce i z papierosem w ustach.

— Jaka ciocia dzisiaj wspaniała! — zawołała pani Aurelia — gdyby pan Zdzisław był nieco starszy, mogłabym podejrzywać...

Ciocia sięgnęła po wiszący u boku wachlarz i trąciła nim zlekka panią Aurelię.

— Niewiem czy nazwać to złośliwością, czy... intuicyą — odparła żartobliwie, nie bez wyrazu pewnej wdzięczności za tak przyjemne posądzenie.

Goście przerwali dalszą rozmowę. Weszła najprzód w szeleszczącej sukni pani Ida, wymączona do trupiej bladości, za nią drobnym kroczkiem wtoczyła się pulchna i świeża Helena, a za niemi okazał się blady o zwiędłej twarzy młodzieniec, z grymasem niezadowolenia na ustach, które mogło pochodzić od szkiełka trzymanego w oku.

Nastąpiły powitania i ten chałas słów jaki zazwyczaj panuje przy spotkaniu się kilku kobiet. Zajęto wreszcie miejsca a ogólna rozmowa podzieliła się na dyalogi.

Z przyległego pokoju dał się słyszeć przerażający skrzyp butów i woń rezedy zmieszanej z jaśminem buchnęła na cały salon.

Wszedł pan Marcin.

„Kapitan", jak go nazwała w tej chwili pani Aurelia, wyglądał wspaniale. Można go nawet było mieć za generała dywizyi. Czarny surdut był pod szyję starannie jak mundur zapięty. Sztywny kołnierzyk podpierał brodę, starannie wygoloną. Białawe zazwyczaj wąsy przybrały pod pomadą rezedową, zielonawy kolor rezedy. Szpakowate włosy lśniły się jak od werniksu.

Z rycerską galanteryą dawnych żołnierzy ucałował pan Marcin lapisową rękawiczkę pani Idy, Helenie nizko się pokłonił, a panu Zdzisławowi rękę podał. Słowem znalazł się *comme il fant*, z czego ciocia Klemusia widocznie była zadowolona. Patrzała na niego z pewnem zadowoleniem, jak na to pan Marcin słusznie dzisiaj sobie zasłużył. Wyglądał o dziesięć lat młodszy, a twarz jego ogorzała przybrała jakiś urok marsowy. Z należytą powagą rozparł się w fotelu i obdzielił wszystkich łaskawym uśmiechem.

Weszła i Janina. Wyglądała bledziej jakby po nocy źle przespanej. Na twarzy malowało się zmęczenie, w oczach migotało światło przyćmione. Miała czarną pod szyję zapiętą suknię, od której jej twarz blada i jasne blond włosy pięknie odbijały. Kolory były artystycznie dobrane,

Prawie równocześnie wyszedł z przedpokoju August.

Twarz jego była spokojna jak zawsze, tylko na czole majaczyła lekka chmurka.

Nastąpiły przedstawienia i jak zwykle banalny wstęp do rozmowy. Janina zaledwie skinęła mu głową na powitanie, on tylko mimochodem jej się ukłonił.

Towarzystwo ugrupowało się według skłonności i przypadku.

— Słyszałam o biegłości pani w sztuce kulinarnej—rzekła Janina, przysiadając się do Heleny.— Zaprawdę jest to dzisiaj przymiot tak rzadki i tak mało w wychowaniu naszem uwzględniany, że postanowiłam sobie starać się o jej przyjaźń.

Tuż za nią ulokował się August obok pana Zdzisława.

— Słyszałem — rzekł do niego — żeś pan zapalonym wielbicielem sztuki, że w osobistych stosunkach stoisz z Lisztem i Donizzetim, z Pilotim i Munkaczym, że w korespondencyi jesteś z Bohdanem Zaleskim i Kraszewskim. Jest to dla mnie niemałą attrakcyą, tem większą, że wychowany w twardej szkole życia nie mogłem nigdy odetchnąć owem czystem, eterycznem powietrzem, jakie panuje w sferze sztuki i poezyi!

(*Dokończenie nastąpi.*)

MARYUSZ PIGNEROL.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

I.

Był w Paryżu poeta, nazwiskiem Maryusz Pignerol. Dorodny to młodzieniec, z cerą smagłą i okiem błyszczącem, włosy miał długie, czarne jak krucze skrzydło, bródkę zgrabnie przystrzyżoną, usta wypukłe; sypały się z nich rymy, brzmiące spiżowym dźwiękiem.

Urodzony w Prowancyi, był on synem prostych wieśniaków, którzy dzięki wytrwałej pracy do znacznego przyszli majątku. Rodzice pielęgnowali troskliwie jedynaka, wcześnie posyłali go do szkoły, cieszyli się z jego zdolności, ale nieszczęściem zmarli oboje nim chłopiec doszedł lat dziesięciu. Daleki krewny zabrał sierotę do Paryża, umieścił go w liceum. Wkrótce potem nastąpiła wojna w r. 1870. Smutna ta epoka źle oddziałała na umysły, w obec klęsk walących się na Francyą, dziatwa nie doroslszy nawet lat młodzieńczych, straciła wiarę w przyszłość, w sercu jej wygasł szlachetny zapał, nie drgnęła iskra przysypana popiołem.

W dwudziestym pierwszym roku życia, Maryusz rzucony swobodnie na bruk paryzki z dziesięciu tysiącami franków dochodu, używał licznych przyjemności jakich dostarcza hojnie wielkie miasto: nie czuł się jednak szczęśliwym. Co chwila napotykał przykry zawód, a obdarzony bujną wyobraźnią i darem poetycznym, wypowiadał skargi na życie, w zwrotkach udatnych, pełnych oryginalnej barwy. Pierwszy tomik poezyi wydany przez niego, sprawił wielkie wrażenie w kołach młodzieży, ogłoszono go naczelnikiem szkoły pessymistów, czyli tak zwanych *dekadentów*. Sprawozdawca głośnego dziennika, poświęcił mu pierwszą kolumnę. Od tego dnia książka p. t. *la Angoisses* (Udręczenie) rozbiegała się na wszystkie strony.

Po tem niespodziewanem powodzeniu, Maryusz został modnym poetą. Salony wydzierały go sobie, wytworne panie i dramatyczne artystki ubiegały się za nim. W rok potem ogłosił nowy tomik, na który liczył więcej jeszcze, tymczasem moda w inną obróciła się stronę, tomik przeszedł niepostrzeżenie. Poeta odczuł boleśnie doznany zawód, płakał z gniewu, piorunował na życie, zwał je ohydną farsą. Leopardes stał się ulubionym jego autorem. Drażnił go hałas uliczny, dzienniki odrzucał ze wstrętem, na ludzi snujących się wesoło, patrzał jak na szaleńców. Nakoniec w pogodny wieczór czerwcowy, nie wiedząc sam co czynić, wsiadł do wagonu, pospieszył na południe, byleby tylko uciec od bruku paryzkiego.

O wschodzie słońca, ujrzał się nad jeziorem Annecy. Wychyla głowę oknem, widzi stojący u brzegu parowiec, kłęby dymu i pary wybiegają z komina. Siada na statek, płynie gdzie go oczy poniosą.

Parowiec zatrzymał się w przystani, naprzeciw ślicznej wioski Talnar. W gładkiej, jasnobłękitnej powierzchni jeziora, rysowały się cudnie, różnobarwne gór szczyty. Stroma skała, pokryta lasem, wysunięta naprzód, tworzyła malowniczy przylądek. W pośród zielonych winnic i drzew orzechowych, rozrzucone chaty, pokryte ciemnym szyfrowym dachem, otoczone galeryjką drewnianą, malowniczy przedstawiały obraz. Na boku pod

cieniem stuletnich kasztanów, uderza w oczy wysoki gmach, z gotyckim frontonem i zagiętemi w łuk, ogromnemi oknami. To starożytne opactwo dziś przeistoczone na hotel.

— Otóż mam, czego mi potrzeba — zawołał Maryusz i bez namysłu porzuca statek, najmuje w starożytnem gmachu małą izdebkę, niegdyś celę przeora. Tu będzie mógł bez przeszkody zatopić się cały w czarnych myślach, tu będzie czytał rozpaczliwie poezye Leopardego. Nikt mu nie wejdzie w drogę, nic nie zmąci pokoju.

I wiódł tu życie bezbarwne i samotne, pomiędzy milczącem jeziorem a nieruchomą górą, pogrążony cały w chorobliwem dumaniu. Żaden dziennik nie przynosił mu wieści ze świata. Szum parowca oznaczał mu godziny, świerszcz pod podłogą zapowiadał zbliżający się wieczór. Mało wychodził, okiem tylko ścigał powierzchnię jeziora, zmieniającą barwy bez ustanku. Parę razy ledwie wdarł się na mały wzgórek, gdzie leżała osada, zwana Balmette, pusta i zaniedbana. Wśród ogrodu zarosłego zielskiem i dziką krzewiną, stał dom niewielki, zamknięty szczelnie, z oknami przysłoniętemi. Miejsce to puste i samotne, zgadzało się ze stanem duszy chorej, widział w nim obraz zgrzybiałego, zachwianego w posadach świata.

Wkrótce jednak poeta uprzykrzył sobie i śliczne brzegi jeziora w Taluar i opuszczony ogród w Balwette. Cisza tych miejsc rozdrażniała go niemniej, jak gorączkowy ruch paryzki. Serdeczna wesołość poczciwych wieśniaków, którzy przyjmowali bez sarkania, trudy i mozoły, jakie przypadły im udziałem, doprowadzała go do wściekłości. W obec rozkwitłej przyrody, czuł się upokorzonym. Wokoło niego wszystko drga życiem, a mózg jego tak pusty, w sercu taka posucha. Niezdolny do czynu, gotów był skoczyć w głąb jeziora i zerwać z tem nędznem życiem, które nic mu nie przyrzekało.

Dnia jednego ścigany czarną myślą, przebiegał wzdłuż i wszerz pusty ogród, a rozżalony na wszystko co mu wpadało w oczy, ścinał laską czerwone główki makówek. Nagle słyszy za sobą głos szyderczy.

— Wolno panu czynić co się podoba, jakby w swym własnym domu.

Maryusz obraca głowę, widzi wysokiego starca, z siwym włosem, odzianego niedbale w szarą płócienną kapotę. Z pod słomianego kapelusza, opasanego wyblakłą wstążką błękitną, spostrzega kształtne rysy, oczy błyszczące, ocienione brwią gęstą i usta uśmiechające się złośliwie.

— Mój panie — odpowie rozdrażniony poeta, jestem tu jakby u siebie, gdyż ta posiadłość widocznie opuszczona, a potem ścinam same tylko zielska, oddaję więc posługę właścicielowi.

— Mylisz się pan podwójnie — odrzecze starzec — naprzód posiadłość ta wcale nie jest opuszczona, powtóre, właściciel jej lubi te dzikie rośliny, którym główki ścinasz bez litości.

— I zkądże pan wiesz o tem?

— Wiem, gdyż ja właśnie jestem właścicielem tej osady.

Maryusz zmieszany, wybąkał kilka słów i chciał odejść, ale gospodarz zastąpił mu drogę.

— Nie odejdziesz pan — rzecze — jesteś tu więźniem moim, nie chcę abyś uniósł ztąd złe wyobrażenie o gościnności sabaudzkiej. Wypijemy razem buteleczkę wina, z mojej winnicy w Taluar.

I pociągnął poetę do sali, która służyła razem za kuchnię i pokój jadalny, potem zszedł do piwnicy, wnet powrócił, niosąc butelki i parę kieliszków.

Obaj zasiedli przy stole, popijając białe wino; rozpoczęli swobodną pogadankę.

Musujące wino rozwiązało im język. Maryusz oznajmił kim jest. Gospodarz uczynił to samo. Nazywał się Lettruz, niegdyś był lekarzem w tej okolicy, później zamieszkał w mieście Annecy, zagląda tylko do Balmette, w miesiącu winobrania. Był to staruszek wesoły, rozmowny, ukształcony, skory do sarkastycznych żartów.

— Niegdyś — rzekł — mój ogród nie był tak opuszczony, pielęgnowałem go dla przyjemności drugich. Teraz sam jeden, jak sowa w dziuplu, urządzonego na mój sposób. Niecierpię ogrodów wymuskanych, wyciągniętych pod sznur, pozwalam roślinom rozwijać się i bujać swobodnie. Co chcesz? Im bardziej czuję w sobie gasnące siły, tem bardziej radbym widzieć potężną żywotność we wszystkiem co mnie otacza. Bądź co bądź lubię życie!

Inaczej myślał Maryusz. Wypowiedział też bez ogródki teorye swoje o nieszczęśliwym stanie ludzkości. Rozwinął całą wymowę, zapalał się coraz to bardziej, rad że dowodami swemi, pokona tego lekarza wiejskiego, pokazując mu bezsilność ludzką, aby wydobyć z życia, coś innego jak smutny zawód!

Letraz słuchał z uśmiechem, popijał wino i ruszał ramionami.

— Ile masz pan lat? dwadzieścia cztery i śmiesz uskarżać się na życie! Ba! wiem ci ja, że życie nie składa się tylko z dni szczęśliwych. Widziałem ja wiele nędz od lat siedmdziesięciu sześciu. Ja sam oto, miałem ukochaną żonę i pochowałem ją w grobie. Miałem dwoje dzieci, pieściłem je, psułem i wyrosły na niewdzięczników, porzuciły mnie, zostawiły samego w pustym domu. Ale żyć mój przyjacielu, to nie znaczy tylko być szczęśliwym, to znaczy cierpieć, poświęcać się, kochać, słowem działać do końca! A musi być szczęśliwa ponęta w tej działalności, kiedy najnieszczęśliwszy nawet człowiek, gdy go przyciśniesz do muru, woli jeszcze to życie udręczone od śmierci, która je zakończy.

Rozmowa przeciągnęła się do wieczora, pożegnali się po przyjacielsku.

— Odwiedź mnie znowu — rzekł doktor do poety — przypadłeś mi do serca, a potem jesteś chory, niezwykła to choroba, musimy ją pokonać. Tymczasem zalecam ci ruch bezustanny, nie poddawaj się smutnym myślom, a kiedy cię napadną, wybiegaj na świeże powietrze, wdzieraj się na wierzchołek gór, to ci poruszy krew w żyłach i przywróci nerwy do równowagi. A potem przyjdź do Balmette na czarkę wina. Za miesiąc będziesz zdrów mogę ręczyć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W sprawie czystości naszej mowy,

PRZEZ

L. S. W.

Każdemu w Warszawie zdarzało się nieraz słyszeć w sklepach, cukierniach oraz z ust ludzi, mniej lub więcej wykształconych, wyrażenia: „krawiec lub szwaczka *wykończa* robotę”, „zegarek *spóźnia się*” (ba nawet *spóźnia się* ktoś do biura), „ogień *zagasa*” i t. p.

W pośpiesznych robotach literackich prasy naszej niebrak również podobnych wyrażeń.

Oto zebrana dla przykładu ich wiązanka: „wojewoda *zagasa*; *zakończając* wspaniałe to dzieło, młodzieniec z boleści *utraca* zmysły; słoma w zetknięciu z ogniem *spala się*; każdy na grobie twoim *uklęka*” (ostatnie w wierszu na śmierć S. Grudzińskiego, jako zbyt śmiała licencya poetyczna). W podobnych wyrażeniach poczuje nutę fałszywą nawet ucho nie badacza specyalisty, ale człowieka, nawykłego do mowy czystej i poprawnej. Otóż postawmy pytanie, od jakich to czasowników pochodzą przytoczone formy czasu teraźniejszego? Czasowników *wykończać*, *spoźniać się*, *zagasać*, *zakończać*, *utracać*, *spalać się*, *uklękać* i t. d., język polski pono nie posiada, czego dowodzi choćby tylko niemożliwość odpowiednich czasów przeszłych: *wykończałem*, *spóźniałem się*, *zagasałem*, *zakończałem*, *utracałem*, *spalałem się*, *uklękałem;* powyższe więc formy są to czasy teraźniejsze od czasowników: *wykończyć*, *spóźnić się*, *zagasnąć*, *zakończyć*, *utracić*, *spalić się*, *uklęknąć*. Te i tym podobne czasowniki nazywają się *dokonanemi* i według orzeczenia gramatyki, *czasu teraźniejszego mieć nie mogą*. A jednak przytoczone powyżej wyrażenia świadczą, że w mowie żyjącej istnieje konieczność wytwarzania czasu teraźniejszego dokonanego i że ta konieczność pobudza do płodzenia podobnych powyższym dziwolągom. Są to bowiem dziwolągi zbyteczne, gdyż z drugiej strony, utarta formułka gramatyczna również nie ma racyi: *czas teraźniejszy dokonany jest w języku polskim możliwym*, podobnie jak w innnych (np. greckie i łacińskie *perfectum*); istniał on dawniej i dziś jeszcze *istnieje;* nie ma więc potrzeby wytwarzać nowych dziwolągów, lecz dosyć będzie wrócić do zaniedbanych form, w języku istniejących. Formy te czasu teraźniejszego dokonanego od czasowników przytoczonych i innych podobnych są: *wykończę*, *spóźnię się*, *zagasnę*, *zakończę*, *utracę*, *spalę się*, *uklęknę* i t. d. Są to pierwotnie i właściwie *czasy teraźniejsze*, które z upływem wieków dopiero przyjęły także znaczenie czasu przyszłego; nie utraciły jednak pierwotnego znaczenia, czego dowodzi np. forma *każę* (zarówno czas teraźniejszy jak przyszły), liczne przykłady z dzieł dawnych i nowych, wreszcie mowa potoczna w niektórych okolicach kraju. Tu należą np. wyrażenia: „tak mu *odpowie*; róża kole, *rzeknie* matka; do mnie, *zawoła* rycerz; wtem *krzyknie*: do broni!” i t. p. Widocznie nie są to czasy przyszłe, lecz teraźniejsze, użyte w opowiadaniu zamiast czasu przeszłego, czas przyszły zamiast przeszłego w żadnym języku użytym być nie może. Prawidłowo też mówimy i piszemy wszyscy w czasie teraźniejszym: „na tem *zokończę opowiadanie*, zawsze mi *powiesz* coś przykrego, nigdy nie *usłuchasz* i t. d. Tak samo więc należy mówić i pisać w znaczeniu czasu teraźniejszego: „krawiec już *wykończy* robotę, urzędnik oto *spóźni się* do biura, młodzieniec z boleści *utraci* zmysły, każdy na grobie twym *uklęknie*” i t. d. O dwuznaczność tu mniejsza, byleby nie zadawać gwałtu językowi; zresztą związek zdań daje dostatecznie do zrozumienia, czy w danym razie mowa o czasie teraźniejszym czy o przyszłym.

Nakoniec prawdziwość niniejszych uwag poprzeć możemy taką powagą, jak uwieńczone niedawno przez Akademię krakowską dzieło profesora A. Kaliny „Historya języka polskiego”, gdzie w to-

mie I, na str. 399 — 427 można znaleźć wyłożoną gruntownie rzecz o czasie teraźniejszym dokonanym albo następującym wyjątkiem z „Wojny Do-…j” Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, zna… poety XVII wieku:

. . ...niejaki Skrzetuski,
Drogi się tej *podejmie* i od wodzów listy
Owe *weźmie*. Toż w nocy wtedy przezroczystej,
W staw przyległy najpierwiej śmiało się *ochynie*
I z tymi, gdy szczęśliwie (dziwna rzecz) *przepłynie*
Najmniej nie zmoczonymi, po trawie czołgając
I szczero-prawdziwego Rusina kłamając,
Dobierze się Załoziec i t. d.

Formy tu podkreślone są to wszystko czasy teraźniejsze dokonane, użyte w żywem, obrazowem opowiadaniu zamiast czasu przyszłego; nie są to zaś czasy przyszłe, gdyż używanie czasu przyszłego zamiast przeszłego byłoby niedorzecznością, w żadnym języku niesłychaną.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Obecnie Warszawie zajęcia ciekawego i niezwykłego nie brakuje. Mamy wystawę urządzenia domowego, w którem wszystko odznacza się szlachetnym gustem wspomaganym sztukami pięknemi i niepospolitym talentem przemysłowców. Nie widać tu zbytku dorobkiewicza, co radby posiadanem bogactwem pokłon złożyć własnej... wielkości; na pierwszy rzut oka zdaje się każdy sprzęt być skromnym, niepozornym, a jednak przyjrzawszy się bliżej uznaje się go natychmiast godnym komnat choćby królewskich.

Mamy także wystawę szkiców i rzeźby, ciągle powiększaną nowemi okazami. Obrazy Matejki i Siemiradzkiego, znajdujące się na oddzielnych wystawach, są arcydziełami każdy w swoim rodzaju, a któż prac takich oglądać nie lubi?

Najliczniejsze jednak tłumy ściąga do siebie Kiermasz, urządzony w Cyrku przez członków Towarzystwa dobroczynności, którzy w czasie przedstawień pantomin, muszą aż wstrzymywać sprzedaż biletów, aby nie dopuścić zbyt szkodliwego przepełnienia.

Ruch też w Warszawie widnieje wszędzie, gdzie się zwrócić, z bratnią dłonią spotkać się można, nic też dziwnego, że biedaków zmuszonych żyć na obczyznie, trawi tęschnota, że myśl ich biegnąc ku stronom rodzinnym, ku naszym krzyżom przydrożnym i mogiłkom cmentarnym, ku wyniosłym świątyniom i ubożuchnym kościołkom wiejskim, lubi się błąkać choć wspomnieniem po tych pamiątkach minionej przeszłości.

Tęschnota taka to męczarnia ducha w okowach przestrzeni trzymającej zdala wędrowca od miejsc ukochanych, pragnienie niczem nieugaszone, boleść bez środka ukojenia. Pod ich to wpływem koloniści polscy osiedli w Ameryce, budując w Jersey-City kościół dla swej osady, zapragnęli ołtarze jego przyozdobić rzeźbami wyrobionemi ręką polskiego artysty i w ich to imieniu, ksiądz Ignacy Barszcz nadesłał odpowiednie żądanie aż do Warszawy, bez względu na koszta, byle świątynię przyszłą upięknić statuami Świętych, wykutych z pinczowskiego piaskowca.

Niemiecka buta oszołomiona ostatnich lat powodzeniem, wyrosła w olbrzyma pewnego że łbem nieba dosięgnie i wprowadzi tam swój język i obyczaj. Trafiła jednak kosa na kamień i to na naszym gruncie tak potulnie bogacącym obcych przybyszów. Wielu bowiem kupców i przemysłowców Niemców zamieszkujących w królestwie, poczęło się już od roku uczyć języka polskiego. Pomiędzy uczącymi się, można napotkać osoby w poważnym już wieku, przebywające po lat kilkanaście w kraju i nieuważające przedtem za potrzebne poznanie języka krajowego. Obecnie w jednym z zakładów fabrycznych, którego kantor zatrudnia prawie samych Niemców, dyrektor wydał rozporządzenie, ażeby wszyscy w jak najkrótszym czasie wyuczyli się języka polskiego, w przeciwnym bowiem razie usunięci zostaną z bióra.

Wróżka zapowiadana już nieuszczęśliwi nas swojem przybyciem: tak samo i truppa niemieckich artystów nie znalazła powodzenia nawet w wyszukaniu odpowiedniego miejsca do przedstawień teatralnych.

Kupców także wielu z żądaniami swemi zwróciło się do Francyi, słowem ruch się wzmaga w kierunku odwrotnym dawniejszej zależności od zagranicznego przemysłu, a jednak mamy między sobą jednostki, co całe wyprawy dla córek swych sprowadzają z zagranicy; co bieliznę wysyłają do pralni paryzkich, a obecnie rozpoczęto sprowadzanie z Berlina świeżych róż i kamelii, zamierzono zaś dostarczanie na targ za Żelazną Bramę, ryb morskich, homarów i innych podobnie wykwintnych delikatesów.

Jakkolwiek smakoszów wszędzie jest dosyć, ale wątpić należy czy się ta spekulacya uda. Stagnacya ogólna wszystko przytłacza, setki milionów rubli leży w depozytach bez żadnej korzyści dla kraju, procent jednak musi im być wypłacany choć praca dziś każda zaledwie połowę dawniejszych zysków przynosi. Jak długo stan ten potrwa nikt zapewne stanowczo tego nie rozwiąże, wiemy tylko że jest nieznośny, prawie do niewytrzymania i że dąży do zapasów, które wstrząsną całym światem.

Miliony karabinów już czeka na to, towarzyszy im tysiące dział, tysiące okrętów i torpedów, krocie tysięcy koni stoi gotowych w każdej chwili do wymarszu, a teraz wreszcie nową wynaleziono pomoc, której praktyczności trudno odmówić.

Oto zamierzono psy tresowane zaprowadzić w armii niemieckiej. Czworonożni ci obrońcy, których po dwa posiada w tresurze każda kompania, należą do rasy psów owczarskich i przeznaczone są głównie do służby forpocztowej.

Jeden pies tak już postąpił w tresunku, że wysłany przed patrolem z torebką przy obroży, nosi depesze do głównej kwatery i powraca z rozkazem.

Zasłużony Redaktor „Zorzy” p. Józef Grajnert, który przez lat 20, prowadził to Pismo z wielką pracą i wytrwałością, ogłosił w ostatnim numerze, iż prawa do dalszego jego wydawnictwa, odstąpił na rzecz p. M. M. Malinowskiego, dotychczasowego współtowarzysza swej pracy. Pismo to tak ważne w swem przeznaczeniu godne ogólnej opieki, polecamy ludziom dobrej woli a głównie szanownym naszym kapłanom i dworom, zwłaszcza, że nowy jego nabywca w jednym zawsze kierunku, pod względem religijnym i moralnym prowadzić je będzie.

P. Antoni Kostecki z Krakowa zamierzywszy wydać „Dykcyonarz ludzi współczesnych”, mający obejmować na wzór obcych, krótkie autobiografie osób żyjących, odznaczających się na różnych polach życia publicznego, nauki, sztuki, przemysłu etc.

Rozesłał okólnik do wielu pism polskich, z którego zamieszczamy ustęp następujący:

Rozpoczynając przygotowanie materyałów do polskiego Dykcyonarza ludzi współczesnych, odzywam się publicznie z prośbą o poparcie tego przedsięwzięcia, licznem nadsyłaniem gotowych autobiografii, bo chociaż sam rozsyłaniem okólnych listów starać się będę o pozyskanie pożądanych materyałów, trudno mi przecież byłoby trafić do wszystkich, nie pominąć wielu.

Autobiografie mają obejmować imię i nazwisko, rodowód i stosunki rodzinne, wychowanie i wykształcenie, szkołę, uniwersytet, działalność na polu publicznem, czy prywatnem, w kościele, szkole, w zawodzie przemysłowym, technicznym i najróżnorodniejszych jego gałęziach. Autorowie i wydawcy zechcą podać także spis dzieł swoich albo wydań.

W Krakowie, 6 Grudnia 1886 r.

Antoni Kostecki, Mały Rynek L. 7.

Szkolnictwo w Bulgaryi. Aż do roku 1877 nie było w Bulgaryi zgoła żadnej władzy szkolnej.

Turcy nie troszczyli się, panując nad krajem tym, wcale o wykształcenie ludu i o oświatę; prócz szkół prywatnych, utrzymywanych po miastach przeważnie przez kupców, nie było żadnej innej szkoły. Dla braku funduszów nie odpowiadały i owe prywatne zakłady ani liczbą, ani urządzeniem istotnym potrzebom.

Zwrot ku lepszemu nastąpił dopiero w roku 1877, kiedy kosztem państwa urządzoną została znaczna liczba zakładów naukowych.

Nauka w nich odbywa się podług spisanych rozkładów i planów lekcyjnych; nadto ustanowioną została inspekcya szkolna.

W roku 1879 postąpiono o krok dalej przez zamianowanie osobnego ministerstwa oświecenia. Między kierownikami takowego położył największe zasługi Czech Jireczek.

Obecnie posiada już Bulgarya prawo szkolne, mocą którego zobowiązany jest każdy ojciec rodziny posyłać swe dzieci, jeżeli się w inny sposób o ich wykształcenie nie stara, do szkoły ludowej. Czas szkolny obejmuje na wsi 6 a w miastach 8 lat.

W ciągu roku ma się przez 10 miesięcy odbywać nauka, która zresztą jest bezpłatna. Każda szkoła ma się składać przynajmniej z trzech klas. O ile stosunki na to pozwalają, mają być po miastach zaprowadzane szkoły średnie i fachowe.

Uniwersytetu nie posiada jeszcze Bulgarya. Celem lepszego nadzoru księztwo jest podzielone na

16 okręgów, a nad każdym z nich jest ustanowiony inspektor.

Z dwóch milionów mieszkańców, zamieszkujących pierwotne księztwo, jest tylko około 70 procentów Bulgarów, 25 procentów stanowią Turcy, a resztę Rumuńczycy, Grecy, Cyganie, Ormianie, Żydzi i Tatarzy.

Starając się uwzględnić właściwości poszczególnych narodów, utworzono niemal dla każdej narodowości osobne szkoły, i tak Bulgarzy, Turcy, Ormianie, Żydzi i Grecy mają swe osobne zakłady. Naturalnie, że liczba szkół bulgarskich jest największa.

W roku 1880 było ich już 1,100, pomiędzy niemi kilka szkół wyższych. Liczba nauczycieli wynosiła 1,379, a liczba uczniów 56,855.

W dwa lata później, a więc w roku 1882, było już szkół 1,365, a między niemi dwa seminarya dla nauczycieli i nauczycielek i 82 szkoły dla dziewcząt.

Że się w tym stosunku dalej podnosił wzrost szkół, dowodzi powiększanie się z każdym rokiem wydatków na szkoły.

Podczas bowiem, gdy w roku 1880/1 wydano na zakłady naukowo 1,372,000 franków, podniosła się suma wydana na ten cel w następnym roku na 1,692,000 fr.

W etacie zaś na rok 1884/5 umieszczono na cele naukowe 2,509,000 franków.

Złowroga suknia ślubna. W Nizzy miało miejsce zdarzenie, które zwróciła powszechną uwagę. Margrabia Cantino, jeden z najbardziej znanych członków miejscowej kolonii cudzoziemskiej, zaręczył się z młodą milionerkę angielską, panną Adą Rutland. W dniu naznaczonym na wesele, zaproszeni goście byli zgromadzeni,gdy ukazała się panna młoda w ślubnej sukni, przystrojonej olbrzymiemi girlandami z białych gołąbków. Pan młody zasępił się na ten widok, a dowiedziawszy się od narzeczonej, iż umyślnie, chcąc mieć oryginalnie przybraną suknię, poleciła dzierżawcom swoim chwytać młode gołębie, zawołał: „I w tej morderczej sukni ja mam ciebie uścisnąć w objęciach? Nie! pogardzam tobą"! i wybiegł z pokoju. Tego samego dnia jeszcze wyjechał do Paryża, zostawiając narzeczoną z milionami i... gołębiami.

Wielkie parki Londynu Greenpark, Hydepark, S-t-Jamespark z dawien dawna były miejscem przechadzek publiczności, tak, że jakkolwiek były własnością królewską, lud przyzwyczaił się uważać je za swoją posiadłość. Małżonka Jerzego II-go postanowiła niegdyś St-Jamespark z obszernemi łąkami zamienić we francuzki ogród i zamknąć go następnie dla publiczności. Plan już był gotowy, fundusz odpowiedni wyznaczony, a francuzki ogrodnik wynajęty, gdy wpadło królowej na myśl pokazać plan hrabiemu Chesterfield, wielkiemu znawcy w sprawach gustu artystycznego.

Hrabia obejrzał plan dokładnie, porobił niektóre zmiany i w końcu oświadczył, że znajduje, iż projekt jest świetny. Wówczas królowa zapytała go jak wysoko szacuje koszta podobnego przedsięwzięcia, na co hrabia odparł zwolna: „To będzie kosztowało trzy korony", ukłonił się i wyszedł, zostawiając królowę zmieszaną wielce tą dwuznaczną odpowiedzią.

Po kilku dniach dowiedział się, że królowa projekt odrzuciła, a park pozostanie nadal otwartym dla ludu.

Nietrudno się domyśléć, że hrabia, który wiedział dobrze jaką wagę naród do prawa korzystania z tych parków przywiązuje, mówiąc o „trzech koronach" miał na myśli korony Anglii, Szkocyi i Irlandyi.

Z dziedziny humorystycznej.

Na dobie — Obrazek Warszawski.

Wracałem dorożką z Wystawy z trzema powabnemi panienkami. W takiem gronie źle być nie może nawet w Warszawskich dorożkach, sławnych z ciasnoty i niewygody, i przy nagłych zwrotach, usiłujących gwałtem na bruk wyrzucić jadących. Dobiliśmy wreszcie do miejsca: wyskakuję pierwszy, noga ścierpnięta odmawia mi posłuszeństwa, chwieje się, panienki chichocą, wreszcie płacę kurs według taksy, dorożkarz liczy dziesiątki i krzywiąc się mówi:

— I nie mógł to szanowny pan dać całe dwa złote?

— A to dlaczego? — pytam — kurs krótki...

— Ale cztery osoby.

— Tylko półtrzeci, panie dorożkarzu, bo dwie panny liczy się za jedną osobę.

— Niech i tak będzie — odpowiada frasobliwie dorożkarz — kiedy według nowej arytmetyki rubel znaczy pół rubla, to niechże i panny za pół osoby się liczą. Zawsze jednak dwuzłotówka należałaby się...

— Ale z jakiego powodu?

— Oto z takiego powodu, że od ósmej godziny rano jestem na mieście, a teraz trzecia po południu, a ja przez te siedm godzin zarobiłem tylko pięć złotych za trzy kursa.

— A cóż ja temu winien?

— Winien pan, — bo dlaczego panowie jeździć nie chcecie, tylko na piechotę drała — drała? Dlaczego zamiast wziąć dwie dorożki, toście państwo woleli dusić się w jednej dryndzie, jak dać drugiemu zarobek?...

— Mój bracie — odrzekłem — dla wszystkich dziś ciężko i każdy musi się oszczędzać...

— Oj! ciężko, ciężko, nawet kantorowicze choć kradną to zaraz uciekają za granicę i tu grosza nie stracą. Złota zaś młodzież dawniej tak krzykliwa i hałaśliwa, dziś tak się kuli, że ledwo raz na miesiąc rublinę można od nich zarobić. I z czegoż tu żyć, kiedy tak wszystko zgałganiało, że szewcy zaczynają chodzić boso, panowie w łatanych butach, a my dorożkarze musimy przymawiać się o dziesiątkę, jakby Bóg wie o co i szukać pasażerów jak grzybów podczas długo panującej suszy.

* * *

Co jest przykre?

Domyślać się, o kim dwie ładne kobiety rozmawiają, a nie módz dosłyszeć co mówią.

Zwrócić na balu powszechną na siebie uwagę, nie swą osobą, ale pękniętym kamaszem, rozdartą rękawiczką, lub krawatem na bok skręconym.

Być zmuszonym rozmawiać o idealnej miłości z damą światową... podobną do faski z masłem.

Być przedstawionym przyszłemu swemu protektorowi, który ciągle się zapytuje, a z braku zębów mówi niewyraźnie i gniewa się gdy pytanie musi powtórzyć.

Złożyć wizytę swemu zwierzchnikowi w celu wyjednania awansu, a zastać go bez peruki, czyszczącego paznokcie.

Wejść przez omyłkę do pokoju damy wielce wpływowej, gdy ta od umywalni odchodząc, podąża do lustra z ręcznikiem w ręku.

Biedz z wielkim pośpiechem na oznaczony termin spotkania się z ukochaną, a być zatrzymanym przez jakiego nudnego gadułę, który się nigdy nie spieszy i nigdy na brak przedmiotu do rozmowy nie narzeka.

* * *

Pan X. jechał dorożką, woźnica kropnął biczem raz i drugi jednego z koni co miał się ochotę znarowić.

— Zabraniam ci bić konia, bo cię pociągnę do odpowiedzialności — woła pan X. głosem podniesionym jak Hamlet w sławnym monologu, być albo nie być.

— A to dobre — odpowiada dorożkarz — alboż mi to niewolno bić własnego konia gdy na to zasłuży?...

— Naturalnie że niewolno.

— Ej! mój panie, ja żonę własną tłukę jak mi dokuczy, a miałbym koniowi folgować? A to dopiero!

— Żonę tłucz o ile ci się tylko podoba, to mnie nic nie obchodzi, bo należę do towarzystwa opieki nad zwierzętami, a nie nad ludźmi.

* * *

Dwóch rozmawia z sobą i jeden mówi:

— Wczoraj spotkałem panią X., idącą z córką, którą czy uwierzysz, że zaledwie od matki odróżniłem.

— Czy matka tak ładnie wygląda?

— Nie, tylko tak są do siebie podobne.

— Ej! Matka ma daleko większe usta.

— To nic dziwnego, używa ich daleko, daleko dawniej to się rozciągnęły.

* * *

Mowę parasolów wymyślili na wzór wachlarzowej mowy Amerykanie. A zasady jej brzmią, jak następuje: jeżeli mężczyzna trzyma nad kobietą parasol w ten sposób że ją ochrania, a on wystawiony jest na deszcz, znaczy to: „kocham ją, ale ona nie należy do mnie", a przynajmniej „jeszcze nie". Jeżeli przeciwnie, mężczyzna jest osłonięty, a na kobietę deszcz pada, znaczy: „To tylko moja żona". Postawić parasol bawełniany obok jedwabnego, znaczy: „zamienić, to nie kraść". Pożyczyć komu parasol, równa się okrzykowi: „Jestem szalony"! Nosić parasol w ten sposób, żeby wykłuwać oczy przechodniom lub zrzucać kapelusz z głowy, znaczy tyle co dowodzić, że się jest ślepym. Zostawić swój parasol obok cudzego w przedpokoju, znaczy, że niebawem zmieni właściciela.

* * *

Ciekawą anegdotkę o Andrassym z czasów jego ministeryum, powtarzają obecnie dzienniki wiedeńskie. Acz minister i dworak, nie lubił Andrassy krępować się formalnościami etykietalnemi. Gdy nie miał humoru, odmawiał audencyi ambasadorom obcych dworów, a z ministrami obchodził się bardzo „po koleżeńsku". Między innemi nie przyjął także pewnego ra-

zu ambasadora angielskiego, kazawszy mu powiedzieć że nie jest ubranym. Spotkawszy się nazajutrz z mylordem, był dla niego bardzo grzecznym. Ośmielony w ten sposób robi mu anglik wyrzuty, mówiąc: „Przecież hrabiemu wiadomo, że nie przychodzę do niego jako lord lecz jako przedstawiciel królowej Anglii". — „Właśnie dla tego — odpowiedział Andrassy — nie mogłem pana przyjąć, gdyż trudno, abym rozmawiał w koszuli z zastępcą kobiety".

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Agrypina (Neron). Dramat historyczny w 5-ciu aktach z prologiem, przez Józefa Labuńskiego. Odznaczony na konkursie dramatycznym imienia Wojciecha Bogusławskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Pieśń Lirnika, powieść wierszem, przez Tadeusza Otawę. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Warszawianka, kalendarz Kolców na rok 1887, cena 25 kop. Nakład A. Pajewskiego, wydawcy Kolców, ulica Niecała N-r 12.

Nowe powiastki Historyczne (z dawnych dziejów polskich), dla młodzieży i ludu naszego. Znajdek, jego przygody wojackie i inne. (Rzecz z XVII-go stulecia.) Książeczka trzecia napisana i wydana przez Józefa Grajnerta.

Historya powszechna, K. F. Beckera, zeszyt 11 i 12 obejmuje okres III historyi starożytnej od Cyrusa do Aleksandra. Nakład Olawskiego. Cena zeszytu 10 kop.

Złota przędza poetów i prozaików polskich. Tom IV, zeszyt 6, ogólnego zbioru zeszyt 42. Nakład Władysława Maleszewskiego i Teodora Paprockiego i S-ki.

Pogawędka o podawaniu pierwszej pomocy obumierającym czyli ludziom będącym w stanie śmierci pozornej, napisał Stanisław Szczepan Zaleski, doktor medycyny. Nakład księgarni Krajowej Konrada Pruszyńskiego. Cena 5 kop.

JEST DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH
czwarta edycya kursu niższego dzieła:

Najlepsza Metoda

do nauczenia się języka niemieckiego **w 3-ch miesiącach, bez nauczyciela,** przez **Pl. Reussnera.** Cena całego dzieła rs. **2** kop. **60**, (pocztą rs. **2** kop. **90**). Oddzielnie kurs niższy kop. **60**, (pocztą kop. **70**); kurs wyższy rs. **2**, (pocztą rs. **2** kop. **20**).
Metoda angielska kop. **75**, (pocztą kop. **85**).
Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

PRZYJACIELA DZIECI
numer 51 wyszedł z druku i zawiera:
Z listów Walentego Kozła z Poznańskiego (z drzeworytem). — W czarną godzinę (wiersz). — Konkurs (komedyjka, dokończenie). — Grota Messavieille w Pirenejach (z drzeworytem). — Bolesław Krzywousty (z drzeworytem). — Syn kmiecy. — **Dodatek:** List Józia z Podola Ukraińskiego. — Dwie myszki (wiersz). — Awantury pana Głuptasiewicza (z drzew.). — Praca ręczna i praca umysłowa (wiersz). — Państwo Marudowie. — Odpowiedzi.—Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym roku 1887, pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Z większych prac pomieszczoną w nim zostanie powieść Jana Zacharyasiewicza z czasów Stanisława Augusta, nowella Klemensa Junoszy i historyczne opowiadanie p. t.

KRWAWY DYABEŁ.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama i wynosi:

W Warszawie Kwartalnie rs. **1** kop. **80.**

Na prowincyi z przesyłką pocztową.

Kwartalnie. . . . . rs. **2** kop. **50.**
Półrocznie. . . . . rs. **5.**
Rocznie. . . . . . rs. **10.**

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

w roku przyszłym 1887, także pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Zaraz w pierwszym numerze przyszłorocznym rozpocznie się druk powieści jednotomowej, p. t. Z SIEROCEJ DOLI, następnie przygotowanej przez Teresę Jadwigę, a w dodatku pomieszczone będzie OPOWIADANIE O KOGUCIE ZAWADYAKU.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama i wynosi:

W Warszawie Kwartalnie rs. **1.**

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

Kwartalnie. . . . . rs. **1** kop. **25.**
Półrocznie. . . . . rs. **2** kop. **50.**
Rocznie. . . . . . rs. **5.**

Prosimy o wczesne nadsyłanie zapisów, co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem Redakcyi.
ADRES: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści" oraz „Przyjaciela Dzieci", w Warszawie — Chmielna Nr **26**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Декабря 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 50.

(*Dokończenie.*)

N. 21. Suknia z paletocikowym stanikiem dla panienki lat 8—10.

Ryc. 21 przedstawia sukienkę dla dziewczynki, podobną do marynarskiego ubrania dla chłopczyków. Spódniczka 300 cent. szeroka przyszyta do podszewkowego staniczka, złożona jest z przodu w 4,12 cent. szerokie pie 5 cent. od dołu; z obydwóch stron przy pletni, dany rząd wyszycia ściegiem cierniowym, jedwabiem kremowym.

Opis do N-ru 51.

N. 1. Serweta ze szlakiem z aplikacyi. Patrz ryc. 12 w N-rze 50.

Tło stanowił jedwabny plusz zielonawo niebieskiego przedni bryt litera *a* jest w górze wraz z brzegiem bocznym prawym złożonym pod spód gwiazdką do gwiazdki sfałdowany i wszyty w pasek, drugi zaś brzeg boczny ściśle sfałdowany przyczepia się na sukni podług ryc. 15. Obydwie połowy pleców i całe upięcie tylne kraje się w jednym ciągu, składając materyał we dwoje podług linii kropkowanej pod literą *b*. Po zszyciu pleców środkiem, materyał wystający w górze i wzdłuż tylnego brzegu fałduje się ściśle podług znaków i składa dwukropkiem do dwukropka. Boczki i przody krają się na długość zwykłej baskiny, na ryc. 2 widzimy stanik dopełniony atłaso-



N. 1. Serweta podłużna. Aplikacya. Patrz ryc. 12 w N-rze 50.

N. 2. Suknia z tuniką sfałdowaną wachlarzowo.

N. 3. Suknia z długą tuniką.

N. 4. Ubranie domowe. Patrz ryc. 4 w N-rze 50.

kontrafałdy, a z tyłu zmarszczona i przyszyta pod małą oddzielnie dodaną draperyą. Na podszewkowym staniku przyszyta jest z przodu część bluzkowa fałdowana, 12 cent. szeroka a 25 długa, zrobiona z kremowego kaszmiru. Długi paletocikowy stanik odrobiony jak i spódniczka z dyagonalu marynarskiego koloru, ma boczki przy plecach na 8 cent. nie zeszyte, a otwór ozdobiony guzikami z konchy perłowej. Kołnierz marynarski i mankiety 7 cent. szerokie z kremowego kaszmiru zdobią haftowane godła marynarskie. W górze paletocik zapięty jest dwoma 4 cent. szerokiemi kawałkami oszytemi sutaszem kremowym, przyszytemi pod kołnierzém i związanemi na węzeł marynarski. Ażurowa, 5 cent. szeroka pletnia kremowa wełniana, naszyta jest na spódniczce w odstę-

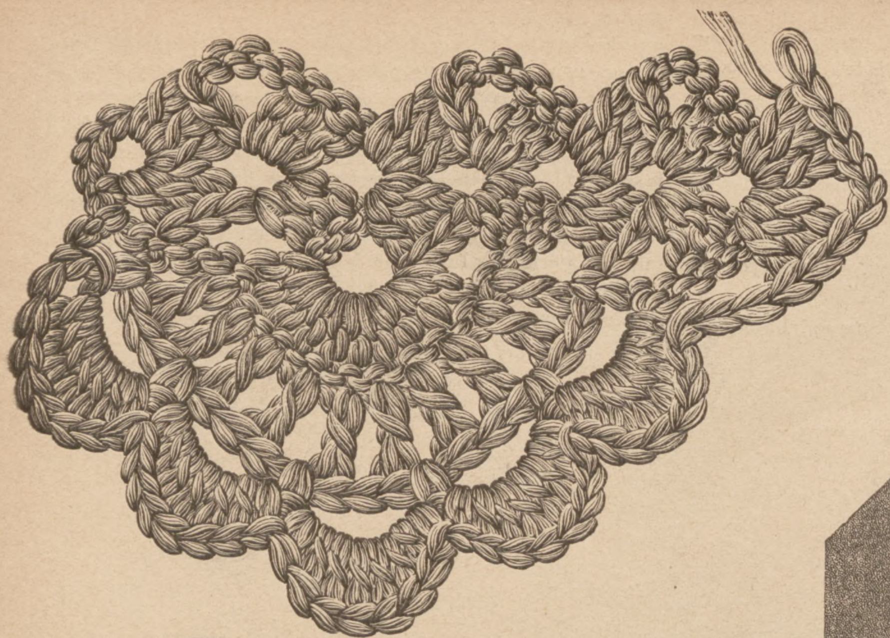
koloru, podszyty takimż kaszmirem, aplikacya dana z materyi poziomkowej ottoman, z konturami obwiedzionemi grubym złotym sznurkiem. Część deseniu daliśmy w naturalnej wielkości na ryc. 12 w N-rze 50, dalszy ciąg znajdą czytelniczki na arkuszu z krojami do N. 1 i 2 Tyg. mód 87 r. Brzegi serwety zakończyć można frendzlą 3 cent. szeroką, pomponami wiszącemi, lub grubym jedwabnym sznurem.

N. 2 i 15. Suknia z tuniką sfałdowaną wachlarzowo. Patrz ryc. 8 w N-rze 50.

Spódnicę podszewkową o ile widoczna z pod draperyi pokrywa się jedwabnym pluszem wiśniowego koloru; stanik i tunika dane z lodenu w kratę pąsową z zielonym. Na ryc. 8 w N-rze 50 daliśmy wymiar tuniki, której wą kamizelką i przybrany ranwersami i kołnierzem pluszowym. Sznury i podłużne guziki szmuklerskie w kolorze zielonym z pąsowym.

N. 3. Suknia z długą tuniką.

Rycina 3 przedstawia gustowne ubranie odrobione z materyału *noppé* w skośne prążki, grubego dyagonalu popielatego i trochę ciemniejszego aksamitu, tunika ma naprzemian bryty gładkie i w prążki. Przedni bryt gładki 104 cent. długi, 100 szeroki łączy się z równie długiemi brytami bocznemi z materyału w prążki, z jednego boku na szwie dany ranwers aksamitny z naśladowaniem zapięcia na guziki. Lekko podpięty bryt tylny, 134 cent. długi, przypina się w górze na baskinie stanika. Przody stanika mają aksamitną kamizelkę, skośnie zapiętą



N. 6. Ząbek szydełkowy do poduszki ryc. 8.

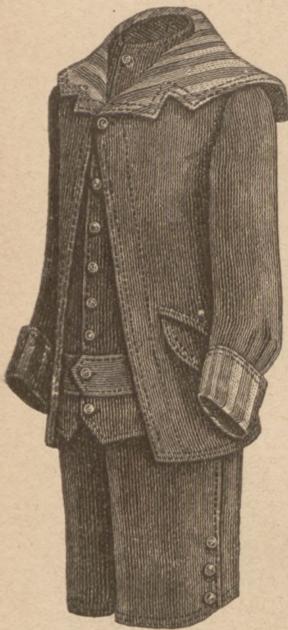
w środku na plisowanej szmizetce z popielatego atłasu; rękawy z gładkiego materyału, z mankietem w prążki i aksamitnym.

N. 4. Ubranie domowe. Patrz ryc. 4 w N-rze 50.

Odrobione z grubego zimowego materyału wełnianego, brązowego koloru, przybrane takimż pluszem w prążki. Draperya przednia układa się z bryta 97 cent. długiego, 250 szerokiego, w górze z jednego boku ułożonego w trzy głębokie plisowane fałdy, dalej zaś ku środkowi, w mniejsze płaskie fałdy i wszytego w pasek od sukni, z drugiego boku brzeg boczny ścięty skośnie ku górze, jest ściśle sfałdowany do 6 cent. i przyszyty na sukni, podług ryc. 4 w N-rze 50. Między zaplisowane fałdy dane są trzy patki pluszowe, podszyte podszewką, 13 cent. szerokie, 96, 76 i 55 cent. długie. Tylny bryt 130 cent. szeroki, ujęty jest w dwa proste słupy pluszowe i pokryty upięciem w kształcie szarfy, złożonem z dwóch części ściętych szpiczasto, po 106 cent. długich 56 szerokich, u dołu podszytych na 50 cent., u góry złożonych w podwójną kontrafałdę, z boków zaś podpiętych w pukiel 23 cent. głęboki. Na staniku dane przybranie pluszu w prążki i kołnierz stojący 4 c. wysoki.



N. 7. Część deseniu do ryc. 8. Haft szelą, bajorkiem i sznureczkiem złotym. Patrz ryc. 6—9.



N. 5. Ubranie dla chłopca lat 6—8.

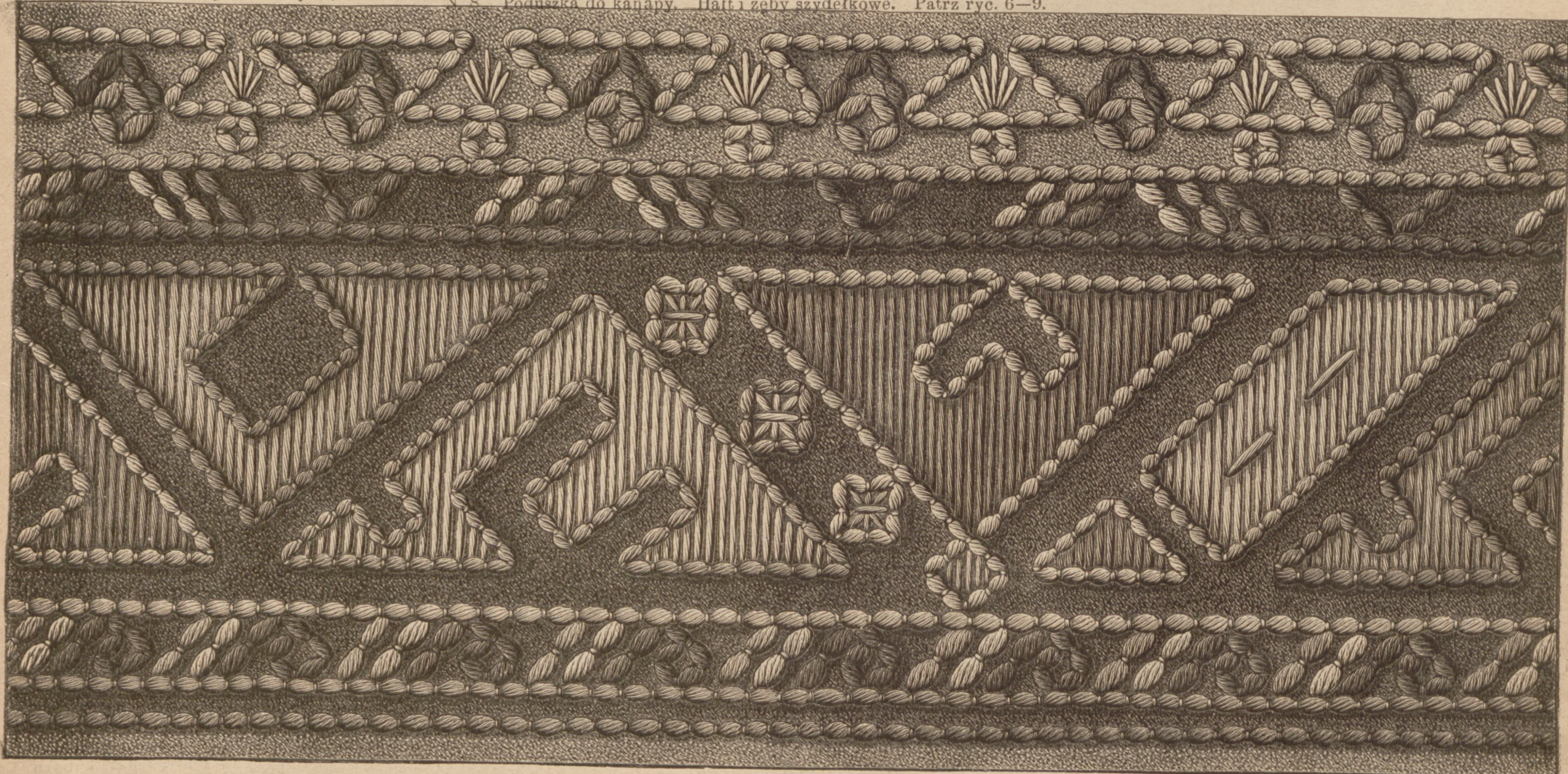


N. 8. Poduszka do kanapy. Haft i zęby szydełkowe. Patrz ryc. 6—9.

N. 5. Ubranie dla chłopca lat 6 — 8.

Zimowe ubranie ryc. 5 uszyte jest z granatowego trykotowego materyału; na ciepłej podszewce, z kołnierzem i mankietami z jersey w pasy pąsowe i szafirowe. Majtki gładkie przypinają się do stanika spodniego; długi wolny kaftan, z tyłu obciśnięty paskiem $4\frac{1}{2}$ cent. szerokim, przody szeroko rozchodzące się u dołu, w górze zapięte na jeden guzik, odkrywają kamizelkę przystębnowaną do przodów w odstępie 4 cent. od brzega w górze 4 u dołu 11 cent. szeroką, zapinaną środkiem na guziki. Podłużny wykrój szyi ma plastron przystębnowany na staniku spodnim; kołnierz marynarski z tyłu 15 cent. długi. Kamizelka przyciśnięta paskiem, wpuszczonym w szwy boczne, 5 cent. szerokim. Rękawy przymarszczone u dołu, wszyte w mankiet 7 cent szeroki.

N. 6 — 9. Poduszka do kanapy. Haft i robota szydełkowa.



N. 9. Szlak na pasie węższym do poduszki ryc. 8. Patrz ryc. 6—9.

Podłużna poduszka dająca się zawiesić na sznurze przyszytym u góry, przedstawiona na ryc. 8, ma dwa przeciwległe narożniki pokryte flaneą pąsową, środek zaś zajmuje pas haftu 9 cent. szeroki, odrobiony podług ryc. 9 na zielonawo niebieskiej flaneli i 12 cent. szeroki pas piaskowego sukna wyszyty podług ryc. 7, brakujące gałązki łatwo dodać podług ryc. 8. Do haftu ryc. 9 użyta filozela niedzielona, w kolorze pąsowym, oliwkowym, różowym i piaskowym. Szlaczki brzeżne i kontury dane z włóczki crevel, przyszywanej przez wierzch poprzecznemi ściegami jedwabiu. Haft podług ryc. 7 odrobiony



N. 10. Wachlarz z koronką złotą robotą filigranową Patrz ryc. 11 i 17.

jest sznelą malinowego koloru, sznureczkiem złotym i bajorkiem czerwonawo złotym; środki figur zapełnia filozela pąsowa Podobne gałązki haftowane są w narożnikach. Podszycie poduszki dane z pąsowej flaneli, brzegi boczne i brzeg górny zakończone grubym sznurem, u dołu zaś dane zęby szydełkowe, odrobione z pąsowej włóczki angielskiej; robota wykonywa się rzędami, tam i napowrót podług ryc. 6. Na środku każdego zęba naszyty pompon, na czubku i w zagłębieniu kwaścik, z włóczek w kolorze haftu.



N. 13. Sukienka bluzkówa dla dziewczynki lat 4—6.

N. 10—11 i 17. Wachlarz z hiszpańską złotą koronką.

Oprawę wspaniałego wachlarza stanowiła kolorowo mieniąca się koncha perłowa, górne zakończenie koronka złota, wykonana tak zwaną robotą filigranową, przystępną dla osób umiejących robić koronki. Każda z czternastu kwaterek wykończa się oddzielnie podług ryc. 11, zaś wykonanie roboty filigranowej wskazuje w powiększeniu ryc. 17. Deseń rysuje się na kalce płóciennej, kontury wewnętrzne wyszywa nićmi ściegiem sznureczkowym, następnie kontury brzeżne i pentelki zaczepiane za siebie, daje się z nitki złótej, przydziergiwanej rzadko jedwabiem. Powtórne obwodzenie konturów widoczne na ryc. 17 dane z płasko położonej podwójnej nitki złotéj. Gdzieniegdzie naszyte złote blaszki, świecąc się podnoszą efekt.

N. 13. Sukienka bluzkowa, dla dziewczynki lat 4—6.

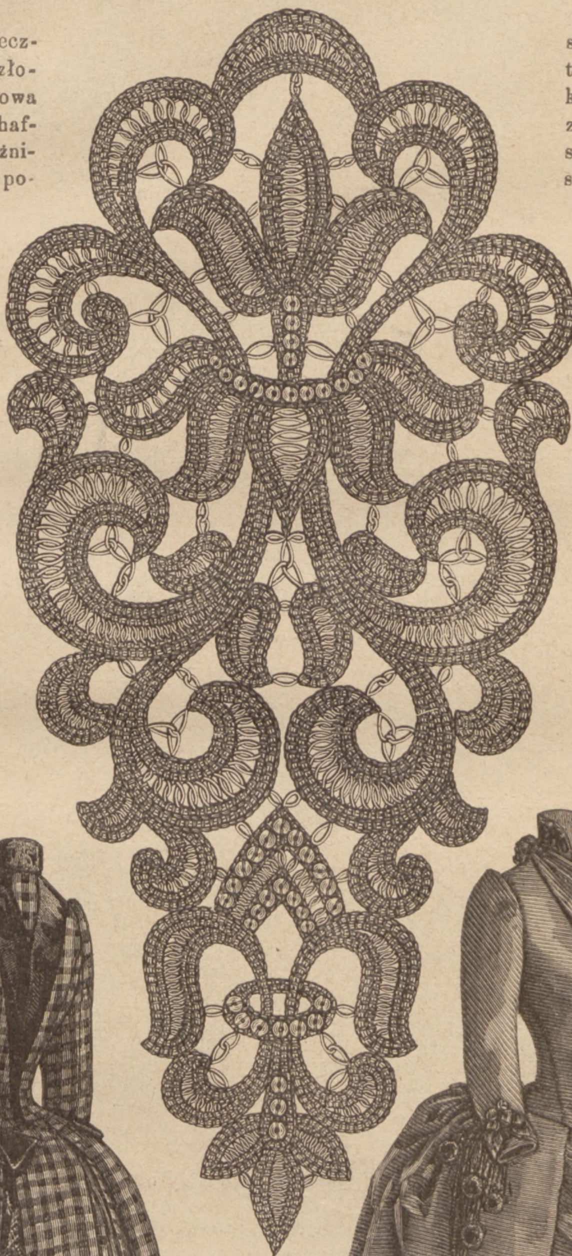
Stanik wycięty i spódniczka krają się w jednym ciągu, z materyału w kratę brązową z niebieskim, ramiączka 5 c. szerokie, zwężone w końcach, zapinają się na guziki; brzeg wykroju przymarszczony na sznureczku w nagłówek $1\frac{1}{2}$ c. szeroki. Cała sukienka ułożona w kontrafałdy 5 cent. szerokie, wierzchem których poniżej wcięcia stanu, przystębnowane są patki po 5 cent. długie, przez które przewłóczy się sznur związany z boku. Wykrój szyi, dopełniony fałdowaną szmizetką z gładkiego materyału, użytego również na rękawy.

N. 14. Sukienka z vêtement, dla dziewczynki lat 4—6.

Długi stanik vêtement ma otwarte przody dopełnione bufowaną kamizelką (patrz ryc. 21 w N-rze 50) z boku niewidocznie zapinaną, plecy zaś mają materyał zwierzchni przemarszczony pod szyją i u dołu. Do stanika przyszyta jest spódniczka 27 cent. długa, 190 obwodu mająca, dwa razy przemarszczona w górze, z boków otwarta, z pod której widać spódniczkę plisowaną, z tego co kamizelka materyału, wszytą w oddzielny pasek.



N. 14. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 4—6.



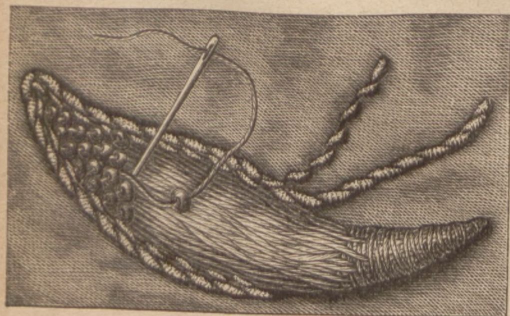
N. 11. Koronka do jednego skrzydełka wachlarza ryc. 10. Robota filigranowa patrz r. 17.

N. 18. Kokarda z kwiatami.

Bukiecik srebrnych i złotych kwiatów ostu wpięty jest w środek kokardy z wstążki z pikotami, 5 cent. szerokiej, koloru łososiowego, pukle nie składają się płasko lecz wszerz podług ryc. 18.

N. 19. Czapeczka dla chłopca.

Pas pluszu w prążki pąsowe i popielate,



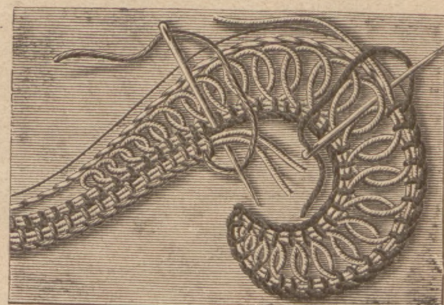
N. 12. Wykonanie wypukłego haftu perełkami, do ryc. 7 w N-rze 50.



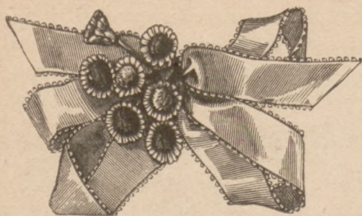
N. 15. Plecy do ryc. 2. Patrz ryc. 8 w N-rze 50.



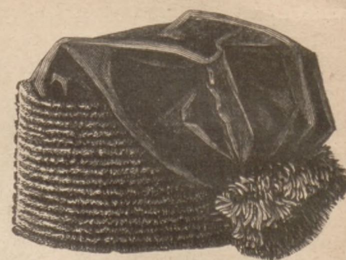
N. 16. Przód do ryc. 3 w N-rze 50.



N. 17. Wykonanie roboty filigranowej do koronki ryc. 11.



N. 18. Kokarda z kwiatkami.



N. 19. Czapeczka dla chłopczyka.

9 cent. szeroki stanowi dolny obwód czapeczki, do którego przyszyte denko z gładkiego pluszu opuszczone w bufę, zakończoną pomponami. Wewnątrz czapeczka jest podwatowana i podszyta pikowaną materyą.

N. 20 i 24. Okrycie krótkie.

Odrobione z jasno popielatego materyału, obłożone ciemniejszemi piórami ma z przodu żabot pluszowy lub jedwabny. U dołu przodów dodana jest oddzielna baskina, załamana w trzy, po 4 c. głębokie fałdy, przyszycie której zasłania pasek z atłasowej wstążki zapięty kokardą; takaż druga kokarda przyszyta na baskinie pleców; końce wstążki zdobią pompony.



N. 20. Okrycie krótkie. Patrz ryc. 24.

N. 21. Paletocik z ranwersem. Patrz ryc. 23.

N. 22. Paletocik wcinany.

N. 21 i 23. Paletocik z ranwersem.

Model odrobiony z angielskiego piaskowego dyagonalu, który jako miękki i przylegający do figury jest ciepły i podszyty tylko jedwabną materyą szkocką. Przy prawej połowie przodów kraje się ranwers, podszyty materyałem zwirzchnim, w górze 8, u dołu 4 cent. szeroki, wywinięty podług ryc. 21 i przypięty w pasie do lewej połowy przodów. Przody i boczki mają baskinę gładką plecy zaś w każdej połowie założone są w szeroką kontrafałdę. Brzegi paletocika, kołnierz stojący i rękawy zdobne rulonikami; guziki rzeźbione drewniane dwojakiej wielkości.

N. 22. Paletocik wcinany.

Krótki paletocik z jedną zaszewką z przodu uszyty jest z materyału w drobne paski i objęty pletnią wełnianą; podszewkę stanowi flanelka w kratę w rękawy zaś dana materya jedwabna. Kołnierzyk wykładany; kieszonki z klapkami 5 c. szerokiemi.

N. 26. Ubranie strojne z gorsecikowym stanikiem.

Kwadratowo wycięty stanik z aksamitu koloru loutre, ma przody aż do szwów bocznych pokryte oryginalnem przybraniem, nakształt pasmanteryi wyrobionej z jedwabnego sznureczka brązowego ze złotym, cienkiego złotego i z brązowych świecących perełek; brzeg dolny zakonczają grelotki stopniowej długości, na ramionach spadają sznury pereł. Głęboki wykroj dopełnia szmizetka z crêpe-lisse.

N. 27. Stanik z kamizelką.

Strojna suknia wizytowa z niebieskiego atłasu i brokatu białego w paski różowe i niebieskie, suto przybrana koronkami, ma kamizelkę uszytą oddzielnie i przypinaną na ramionach i w pasie. Podstswę ze sztywnego muślinu w górze 26, u dołu 4 c. szeroką pokrywa się gładko brokatelą, z brzegów zaś koronkę wywiniętą na wierzch. U dołu stanika dany pasek bawetowy z brokatu, pokryty koronką, z przodu 9 z boków 5 1/2 c. szeroki. Kokardy z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej

---



N. 25. Ubranko wizytowe.



N. 26. Stanik z gorsecikowym przybraniem.



N. Plecy do r. 21. N. 24. Przód r. 20.



N. 27. Stanik z kamizelką.



Pl. 668.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.